

W pogoni za *intestinum caecum* (wersja: W pogoni za robalem) Staňa Cigoš *in memoriam*

Przełożyła Dorota Dobrew

Uchylałem się przed atakami kolczastych pędów jeżyn, lecz kiepsko mi to wychodziło. Szedłem w kierunku dołu po działku artyleryjskim z czasów wojny, żeby wyrzucić tam puste puszki po białym lateksie i czarnym balakrylu oraz stwardniałe na kość pędzle. To miejsce, wybrane przeze mnie na śmietnik, jest całkiem niedaleko. Jeden z wielu dołów, które czerwonoarmiści wykopali w lasku za moją chałupą w celu wzmocnienia obrony niewielkiej śląskiej twierdzy z czasów pierwszej republiki. Z lasku zrobił się las, twierdza się sypie, likwidacją dołów po działach zajmuję się ja. Jest to już piąta jama w okolicy, którą zapełniam. A mimo to historia ciągle wylazi na wierzch, chociaż do niwelacji nierówności terenu używam niemal wyłącznie plastikowych butelek po wodzie z górskich źródeł oraz puszek po mielonce i farbach rozcieńczanych wodą.

Byłem wkurzony jak zawsze, kiedy maluję w plenerze, bo muszę używać czerni i mieszać ją z szarością. Aż tu nagle zobaczyłem – potwora. Oczywiście czarnoszarego, jakże by inaczej. Gdyby nie miał najeżonej zębami paszczęki i zimnych ślepiów, wziąłbym go za gigantyczne cygario marki Churchill, porzucone przez sklerotycznego cyklopa Polifema. Coś sieknęło mnie po twarzy z taką siłą, jakby kopnął mnie źle zaizolowany przewód od transformatora przy domku. Wrzasnąłem, a potwór w gnieniu oka zniknął. Worek plastikowy wyleciał w powietrze, posypały się na mnie trudno rozkładalne śmieci i pokropkowały mnie na czarno i biało.

Pognałem do domu i rzuciłem się na literaturę. W identyfikacji stwora nie okazali się pomocni ani przyjaciele mojego dzieciństwa – Świetliki, ani kurczak Cip-Cip, ani mrówka Ferda, ani nawet sam Brehm. W sukurs przyszedł mi dopiero katalog pewnej wystawy. Był to olgój chorchoj, który potrafi załatwić człowieka na odległość. Ścięła mi się krew w żyłach. Ten robal, ta kiszka stolcowa (*intestinum crassum*) jest strasznym drapieżcą. Cudem uszedłem z życiem. Zapytałem przyjaciela etnografa, czy druga fala Mongołów (po tej z czasów Czyngis-chana) nie przywlokła nam tu czasem olgoja chorchoja. Przyjaciel etnograf był zdania, że bardziej prawdopodobny jest alpejski jaszczur o nazwie „stutzen”, co znaczy mniej więcej „robal z obciętym ogonem”.

Z południowych Moraw, skąd wywodzi się mój ród, natychmiast wyprawilem się w Alpy. Ponad Uherskim Hradziszczem kolory jeszcze ujdą w tłoku, ale są zakurzone z powodu wszechobecnego pyłu lessowego. Musiałbym znowu kombinować z lazurowaniem, tym razem przy użyciu brązu i szarości.

Alpejska paleta barw jest jasna i niemal ostra, ale i tutaj nie uniknąłbym lazurowania, tylko czerń kościaną musiałbym zastąpić błękitem pruskim. Odotczyłem się więc jeszcze trochę dalej na południe. W lasach strefy podgórskiej, górskiej i podalpejskiej stutzena nie znalazłem, a w alpejskie gołe skały i śnieżne turnie nie uśmiechało mi się zapuszczać, bo musiałbym wyjść z mojej skody tudorki. Po drodze z północnych Włoch nie ma żadnych porządných gór, a jeżeli już jakieś się znajdują, nie ma na nich drzew. Tam nawet *intestinum caecum* (jelito ślepe) nie mogłoby się schować. Jeśli chodzi o kolory i światło, to okolica wydaje się bez zarzutu, ale od tych wszystkich antycznych marmurów cała jest biała i jakaś taka ciasna, za bardzo ludzka. Biedermeier narodził się tutaj, nie w Niemczech. Nie będę malować cukiernianych miniaterek.

Zatrzymałem się dopiero w Egipcie, do którego zmierzałem wzdłuż Morza Śródziemnego. Przez Kanał Sueski moją tudorkę musiałem przenieść. Na dnie kanału ledwie mi starczyło powietrza. W Egipcie wpadłem na przyjaciela Hadżiego Halefa Ajn Hemzę, który moje poszukiwania zębatego potwora skomentował stwierdzeniem, że tu w Nilu żyją krokodyle, które mogłyby być tym, za czym się uganiam. Dziesięciometrowego krokodyla spotkałem w czasie poszukiwań cienia piramid i stwierdziłem, że nie ma obciętego ogona, ponieważ mnie nim dzielił. W czasie ucieczki zdołałem spostrzec, że ma też nogi. Z całego staroegipskiego ludzko-zwierzęcego panteonu olgija chorchoja albo stutzena przypominało jedynie kóteczko, które jest symbolem Atona.

Ale śląskie zębate coś nie było kulą, tylko kawałkiem utyłtanego ziemią świerkowego polana. Swoją dziesięciocentymetrową plastikową linijką obmierzyłem piramidę Cheopsa, którą zbudowano na planie kwadratu, a mimo to każda z jej ścian jest innej wielkości. Może ugryzł mnie ten krokodyl, może sfinks, a może skorpion.

Tak więc pożegnałem się z przyjacielem Hadżim przy misce narkotycznego kuskusu i skorzystałem z jego podpowiedzi, że piramidy są też w Meksyku. Robali jest tam ponoć zatrzęsienie, podobno można je bez problemu spotkać w rzece o nazwie Tequille, przepływającej przez gaje agawowe. Ruszyłem na wschód, a przyjaciel Hadżi wołał za mną, że tamtędy też dojadę, tylko ciutek nałożę drogi. Mam przejechać przez Saharę na drugą stronę. Zawróciłem więc tudorkę i pomiędzy diunami wpadłem na przyjacielskich Arabów, którzy po trzech wojnach o charakterze fanatycznym (dżihadach) na ten rok szykowali pierwszą walkę huraganów na krańcu świata (kralizec). Arabscy przyjaciele chcieli mnie włączyć do kralizcowej próby generalnej – w kostiumach i w pełnym oświetleniu – ale przed zaszytletowaniem majchrem z wyposażenia armii szwajcarskiej zdołałem umknąć na grzbiecie Starca Wieczności (Szej-Huluda), który akurat się pojawił i przypominał do złudzenia ten utyłtany ziemią konar o zębatej paszczy z okolic mojej chatupy. Ale o ile śląskie coś przypominało porzucone cygareto starego sklerotyka Cyklopa Polifema, o tyle to saharyjskie podobne było raczej do białawego cygara odłożonego przez starego sklerotyka Tytana Kronosa. Miało ponad dwa kilometry.

Podprowadziłem Szej-Huluda do Dar el-Bejd, a stamtąd na pontonowym trimaranie bez trudu dostałem się do Meksyku. Trimaran służył arabskim emigrantom,

którzy postanowili przeprowadzić kralizec w Ameryce Środkowej, bo mieli pietra przed saharijskimi szej-huludami, a piramidy znajdują się przecież także w Ameryce.

W czasie rejsu nie mogłem malować, nawet gdyby było co. Ocean Atlantycki – zupełnie jak kameleon – nie mógł się zdecydować, który kolor jest jego prawdziwym kolorem, podobnie poczyniło sobie też niebo. Udający się na emigrację przyjaciele poskąpili mi słodkiej wody do rozcieńczania farb, jak również rozpuszczalnika, terpentyny, acetonu, oleju oraz lakieru. Farb nie da się rozcieńczać słoną wodą.

Piramidy w Meksyku również mierzyłem. Za pomocą dziesięciocentymetrowej linijki z tworzywa sztucznego obmierzyłem na przykład piramidę Quetzalcoatl (Pierzastego Węża) w Teotihuacán oraz Piramidę Nisz w El Tajín i stwierdzam, że są one podobne do piramid egipskich, ponieważ zbudowano je na planie kwadratu, ale każda z ich ścian jest inna. Właśnie w Teotihuacán, w miejscu zgromadzeń bogów nad rzeką Tequillą, parę razy zaświeciło mi piąte słońce.

W Meksyku zarówno światło, jak i kolory są idealne, ale jak dla mnie, obywatela świata rodem ze Śląska, jedno i drugie trąciło kiczem, a w dodatku nie miałem takiej ilości złota, a przyjaciel Huaini nie dał się namówić na wymianę półkilogramowej złotej cegły za mojego garbatego gruchota, więc nie mogłem wiernie oddać tego eldorado, do którego zawitałem.

Na całe mnóstwo zębatych potworów, które wyglądały jak potwór ze Śląska, natknąłem się jeszcze w innych miejscach, nie tylko nad rzeką Tequillą, ale wszystkie były z kamienia albo złota. Ani jeden nie był żywy.

Mieniące się złotem kolory plus pięć słońc o świtaniu, potwory tylko z kamienia lub złota oraz Brama Słońca w Tiahuanaco – to wszystko wyгнаło mnie do Irlandii, dokąd przeprowił mnie (razem z tudorką) przyjaciel Nemo swoim Nautilusem, po czym przekazał dozorczy Erykowi Krwawej Siekierze. Ten zaprowadził mnie do trylitu w Stonehenge oraz do irlandzkich dolmenów i menhirów, gdzie zobaczyłem zębatego potwora, żywego i do tego w ruchu. Przyjaciel Eryk Krwawa Siekiera potwora nie widział, może dlatego, że różne Nessie i Guinnessy to dla niego chleb powszedni.

W starej, dobrej irlandzkiej Europie czułem się jak u siebie w domu: tak samo czaroszaro, efekt cieplarniany i nigdzie żadnego działu sztuki, z wyjątkiem wspaniałych kamulców, liczących sobie pięć tysięcy lat.

Ogarnęła mnie tęsknota za niezastąpionym śląskim smogiem, więc z przyjacielem Erykiem wymieniłem zakrwawioną siekiere na pudełko papierosów Start bez filtra. Twierdził, że potrafią lepiej sieknąć. Siekiere opłukałem z krwi w morzu, po czym przez Saint-Germain-la-Rivière oraz jaskinię Menu dotarłem do własnej chałupy.

Następnego ranka poszedłem pozbyć się plastikowych butelek, pozostałych po wieczornej imprezie powitalnej, i natknąłem się na całą rodzinę zębatych potworów. Wcale się ich nie bałem.

Także na Śląsku da się malować we wszystkich kolorach. Trzeba by tylko opłukać okolicę tak jak tę zakrwawioną siekiere Eryka. Odkurzyć i rzucić na nią lekkie graffiti – to za mało, należałoby ją porządnie posprejować. Muszę jeszcze oczyścić powietrze

nad śląskimi Jeseníkami, aż zniknie warstwa smogu, która jest efektem ocieplenia. I nie mogę zapomnieć o oświetleniu okolicy za pomocą lamp sodowych. Wielu. Tysięcy. Wtedy Śląsk może wyglądać jak Egipt, Ameryka Środkowa i powiększone Włochy, a nie jak Irlandia. Ale to już nie będzie Śląsk i ze świecą szukać by w nim tego szarego, beznogiego i bezogoniastego robala, który potrafi zabić na odległość, co na Śląsku jest powszechnym, uświęconym przez setki lat zwyczajem.

I co jeszcze? Jeden jedyny raz zaryzykowałem eksperyment z oczyszczaniem i oświetleniem krajobrazu oraz powietrza. Gdzieś koło roku trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego powinienem spłacić dług z faktury za prąd. Będę malować tak, jakby Śląsk był egipsko-meksykańską Irlandią, dorzucę trochę południowych Moraw, Alpy i Włochy, a w pogoń za robalem wyprawię się do Azji.



František Kowolowski, *Interwencja*, Klenová, 2005